

Everest na śniadanie

9 czerwca 2024

Kilka dni temu w telewizji śniadaniowej TVN wystąpił młody człowiek, który w ramach komercyjnej wyprawy wszedł na Mt. Everest. Przypadkiem niby wspomniał, że jeden z członków jego grupy został w śniegu i lodzie na zawsze.

Nie mam nic przeciw temu chłopcu, który przyznał, że przygotowywał się przez trzy lata, chodząc po niespecjalnie wysokich i łatwych górskich drogach. Wręcz przeciwnie, dobrze mu życzę, ale zastanawia mnie, dlaczego nikt nie organizuje przepływania kanału La Manche dla ludzi nieumiejących pływać? Albo, dlaczego nie namawia się do przebiegnięcia maratonu kogoś, kto dostaje zadyszki podchodząc Tamką?

Żadna poważna organizacja alpinistyczna nie wysłałaby na wyprawę w Himalaje, Karakorum, Hindukusz, czy Pamir człowieka z zaledwie trzyletnim stażem górskim wyłącznie na łatwych drogach. Robią to komercyjne firmy świadomie i cynicznie robiące kasę wiedząc, że część ich klientów zginie. Na wszelki wypadek płatność jest z góry.

I tu przejdziemy do tematu, dlaczego ci ludzie na takich wyprawach giną. Zaraz usłyszę, że alpiniści też giną. Tak, ale rzadko w zupełnie łatwym technicznie terenie. Alpiniści atakują trudności, których turysta nawet nie potrafi sobie wyobrazić. To tak, jak byśmy porównywali utonięcia przy pływaniu we wzburzonym morzu z utonięciami w wannie.

Turyści na wyprawach komercyjnych giną głównie z dwóch powodów. Są za słabi fizycznie i nie potrafią ocenić niebezpieczeństwa, bo nie mają doświadczenia. W sporcie funkcjonuje takie pojęcie jak „przekładnia”, czyli stosunek siły do wagi ciała. Dlatego drobna dziewczyna może być praktycznie silniejsza od rosnącego chłopca. Mówimy więc o sile w takim znaczeniu.

Turystom, zwłaszcza młodym, może się wydawać, że są silni, bo pakują na siłowni i biegają nad Wisłą. Pozwolę sobie posłużyć się przykładem z innej dziedziny. Prowadziłem przez ok. 20 lat treningi sportów walki. Na grupę początkową zgłaszali się m.in. młodzi ludzie przekonani o swojej sile i sprawności, bo na przykład potrafili zrobić 20 pompek. Wielkie było ich zdziwienie, gdy dowiadawali się, że „tu się mniej niż 50 nie robi”, a w grupach zaawansowanych sto lub dwieście nie jest sensacją.

I tu właśnie chodzi o tę proporcję. Rozmawiałem nie raz z turystami, którzy uważali, że „znają góry”, bo byli na Rysach, albo na Mt Blanc (kilkaset metrów niżej niż baza pod Everestem). Ci ludzie nie rozumieją, że o górach nie mają nawet bladego pojęcia.

Doświadczony alpinista wie, że na zejście potrzeba tyle samo, a czasem więcej siły, niż na wejście. Wie, kiedy trzeba zrezygnować ze szczytu i zawrócić, by nie zostać tam na zawsze. Turysta tego nie wie. Nie wie też, że pozorne „wygody” na wyprawie komercyjnej służą zyskowi firmy, a nie jego bezpieczeństwu. Na przykład, na klasycznej wyprawie zakłada się kolejne obozy i poręczówki, samemu. Nosi się namioty, sprzęt i inne graty na własnych plecach, zdobywając w tym czasie aklimatyzację i kondycję. Turysta, któremu wszystko zanieśli tragarze, ma dużo mniejszy wysiłek, ale wcale nie jest to dla niego dobre. Bo gorzej się aklimatyzuje i nie nabiera siły. Firmie zależy na tym, by wepchnąć go na szczyt jak najszybciej, a jego ewentualne zwłoki są tylko pozycją w arkuszu kalkulacyjnym.

Dlatego ja bym powiedział temu chłopcu: Miałeś chłopie więcej szczęścia niż rozumu. Chcesz wchodzić na ośmiotysięczniki, to najpierw zrób parę porządnych dróg zimowych w Tatrach i w Alpach. Wejdź najpierw na kilka sześciotysięczników. Powspinaj się parę lat zimą. Przebiegnij parę razy maraton, poszwendaj się po północnej Mt. Blanc lub Matterhornu i dopiero wtedy zabieraj się za coś większego. Góry są, gdzie są i przez parę

lat nie znikną, a Ty będziesz miał szansę też nie zniknąć.

O ocenie moralnej tych firm nie piszę, bo jest oczywista.

Autorstwo: Krzysztof Łoziński

Źródło: StudioOpinii.pl